

Konrad Godlewski

Korea szerokopasmowa

Kwiaty  Orientu
www.kwiatyorientu.com

Warszawa 2012

Copyright © Konrad Godlewski, 2012

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Kwiaty Orientu, 2012

Redaktor

Edyta Ceranowska-Wójcicka

Projekt okładki

Robert Wąs

Korekta

Marzena Stefańska-Adams

Elżbieta Kościańska

ISBN 978-83-932534-9-4

Wydawnictwo Kwiaty Orientu

26-110 Skarżysko-Kamienna, ul. Konopnickiej 12/42

Tel. 41 2524870

E-mail: pytanie@kwiatyorientu.com

Strona internetowa: www.kwiatyorientu.com

Druk i oprawa

Drukarnia im. A. Półtawskiego

www.drukarnia.kielce.pl

Spis treści

Prolog	5
Rozdział I.	
Wojna i StarCraft	13
1. Cztery godziny od kraju Orwella	13
2. Pokłon dla progamera	19
3. Elektroniczny Stadion Narodowy	29
4. Najpiękniejsza gra świata	35
5. Gladiatorzy z <i>game arcades</i>	41
Rozdział II.	
Światłowody i wiszary	48
1. Pustelnicze Królestwo	48
2. Sieć wisi w powietrzu	55
3. Elektryczna flaga	62
4. Polacy Dalekiego Wschodu	68
5. Cud nad rzeką Han	75
6. Ogrodnik z wyspy Jeju	86
Rozdział III.	
Koreańska fala	93
1. Kraina <i>PC bangów</i>	93
2. Trzecia przestrzeń	100
3. Policjanci na granicy światów	110
4. Elektroniczne narkotyki	116
5. Surfując na koreańskiej fali	126

Rozdział IV.	
Cień Wielkiego Brata	135
1. Disneyland z karą śmierci	135
2. Świetlistość na końcu tunelu	141
3. Prezydent z Internetu	149
4. Każdy obywatel jest dziennikarzem	155
5. Cień Wielkiego Brata	162
Epilog.	
Lekcja chan	171
Bibliografia i podziękowania	182

Prolog

*Bo gdy szlakiem ku północy podążają hufce ludne,
Ja odwracam dumnie głowę i wyruszam na południe.*

Mirośław Hryniewicz, *Krzyżowiec*

O istnieniu takiego państwa, jak Korea Południowa, dowiedziałem się jesienią 1988 roku. W ciepłe, wrześnie wieczory zasiadaliśmy całą rodziną przed radzieckim telewizorem marki Sadko, aby podziwiać Igrzyska Olimpijskie w Seulu. Nie było zresztą innego wyboru. O *zappingu*, czyli skakaniu po kanałach, nikt jeszcze wtedy nie słyszał. Telewizja Polska nadawała tylko dwa programy, a nasz odbiornik, choć wyposażony w czujnik podczerwieni, pozbawiony był pilota. W sklepie w Uljanowsku w ZSRR, gdzie kupił go ojciec, piloty akurat się skończyły.

Na przekór podobnym, obiektywnym trudnościom realnego socjalizmu sportowcy radzieccy w Seulu zmiażdżyli Stany Zjednoczone w ogólnej klasyfikacji medalowej. A i Polacy przywieźli kilka krążków: Andrzej Wroński zdobył złoto w zapasach, a Waldemar Legień triumfował w judo. Szczególnie imponujący wydawał się wówczas ten drugi wyczyn – pokonać Azjatów w ich własnej dyscyplinie!

O tym, że judo nie ma z Koreą nic wspólnego i że ten kraj w ogóle różni się czymkolwiek od Japonii, nie śmiałbym wówczas nawet przypuszczać. Wiedzę o dalekowschodnich sztukach walki czerpałem z zeszytu Krajowej Agencji Wydawniczej, do

którego wklejało się słynne „ilustracje samoprzylepne”. Poza chińskim *wushu*, prezentował on wyłącznie japońskie sztuki walki. Kraj Kwitnącej Wiśni był bowiem wówczas w Polsce niezwykle modny. Spopularyzowały go seriale – japoński *Oshin* i amerykański *Shogun* z Richardem Chamberlainem w roli białego samuraja.

Z olimpijskich transmisji nic się o Korei nie dowiedziałem. Zapamiętałem tylko tygryska – maskotkę Igrzysk oraz przebojową piosenkę *Hand in hand* z zapadającym w ucho słowem „tari-ra” w refrenie. Mimo że olimpiada stanowiła dobry pretekst, aby poznać jej gospodarza, nasz szkolny geograf słowem o Korei nie wspominał. Zgodnie z ówczesnym programem długo natomiast słuchaliśmy o Związku Radzieckim, a wiosną 1989 roku pojechaliśmy nawet na wycieczkę do Centralnego Muzeum im. W. Lenina w Warszawie. Mieściło się ono opodal placu Bankowego, na którym stał jeszcze pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, obalony przez warszawiaków w czasie Jesieni Ludów.

Po upadku komuny ojciec kupił używany samochód marki Hyundai, importowany z USA. Mnie i mojemu bratu strasznie imponowało, że jeździmy teraz amerykańskim autem, którym jakiś jankes rozbijał się po bezkresnych autostradach Arizony. Magią wydawał się dzwonek, który dyskretnym dźwiękiem ding-dong przypominał, że drzwi są niedomknięte. Intrygował nas nawet napis na lusterku: *objects in mirror are closer than they appear*. Tak nauczyliśmy się, że „close” znaczy nie tylko „zamykać”, ale również „blisko”. Przy tej całej amerykańskości, koreańska nazwa hyundai nie robiła jednak na nas szczególnego wrażenia. Do czasu, aż koreańskie samochody zaczęły zalewać Polskę. Zakłady FSO na Żeraniu przeszły pod skrzydła firmy Daewoo, a ulice Warszawy zaroily się od aut o mało oryginalnych kształtach i dziwacznych nazwach – leganza, nubira, matiz i tico.

Latem 2000 roku wylądowałem w Pekinie jako stypendysta MEN na kursie języka chińskiego. Korea dopadła mnie i tutaj. Akademik był pełen studentów z Południa, a *kimchi* koreańska kapusta kiszona na ostro z papryką chili okazała się być jednym z głównych dań współczesnej kuchni pekińskiej. W *kimchi* zakochałem się od pierwszego kęsa, ale studentów z *Hanguo*, jak brzmi chińska nazwa Korei Południowej, długo nie mogłem rozgryźć. Po angielsku mówili słabo, trzymali się razem.

Pierwsze pół roku w akademiku mieszkałem w pokoju razem z beztrojskim Amerykaninem z Chicago, który brudne rzeczy upychał pod szafą i co wieczór chciał urządzać imprezę. Widok karaczana przebiegającego po pościeli kwitował wrzuceniem ramion. Uczyć się nie zamierzał, bo wołał upajać się zachwytem, jaki zewsząd wzbudzał wśród Chińczyków. Telefony z prośbą o pomoc w nauce *american english* odbieraliśmy nawet o godzinie drugiej nad ranem. Pewnego razu mój amerykański współlokator próbował przenieść się do swych entuzjastycznie nastawionych chińskich przyjaciół, ale wrócił bardzo szybko. Okazało się, że na miejscu pojawił się przedstawiciel komitetu blokowego partii, który oznajmił, że Chińczykom i obcokrajowcom razem mieszkać nie wolno.

Amerykanin w końcu znalazł sobie inne miejsce do życia, a mnie przydzielono Yima, Koreańczyka z Seulu. Odetchnąłem z ulgą. W języku mojego nowego współlokatora występowało pojęcie „sprzątanania”, a moja wiara w skuteczność walki z karaluchami nie wydawała mu się dziwactwem. Dyskretny i zdystansowany Koreańczyk zaraził mnie miłością do kapeli *Spitz*, na którą podrywał japońskie dziewczęta. W Seulu miał wprawdzie narzeczoną wybraną przez rodziców, ale przed ślubem pragnął zakosztować kawalerskich uciech. W efekcie kilka wieczorów spędziłem jako bezdomny.

Pomimo tej zażyłości i moich niewątpliwych starań nie udało mi się dowiedzieć od Yima zbyt wiele o jego kraju. O polityce rozmawiał niechętnie, o kulturze i języku również. Przytakiwał, słuchając moich tyrad na temat dziejów Polski czy Chin, ale sam nie rewanżował się podobnymi opowieściami. Raz tylko pożalił się, że narzeczona wydzwoniła do niego rachunek na 10 tys. dolarów i przez pół nocy dyskutował przez Internet ze swoim starszym bratem, skąd wziąć pieniądze na spłatę długu. To od Yima dowiedziałem się, że istnieje *Skype* i że przez sieć można dzwonić za darmo.

Stopniowo Koreańczycy zaczęli mnie fascynować. Mieli własną kulturę, różną od chińskiej i japońskiej, ale w Polsce kompletnie nieznaną. Trzymali się razem, jadali najchętniej w koreańskich knajpach i przesiadywali w kafejkach internetowych, gdzie całymi godzinami grali w *StarCrafta*. Na przekór tej niefrasobliwości, wielu z nich było żarliwymi chrześcijanami. Co niedziela grupka zelotów zbierała się przed akademikiem z gitarą, aby w kółeczku śpiewać religijne pieśni. Jeden z nich, sympatyczny katolik w wielkich okularach, nie mógł się nadziwić, słysząc, że ja, rodak Jana Pawła II, nie chodzę w każdą niedzielę na mszę. Poczułem się naprawdę głupio.

Potem odkryłem, że Koreańczycy mają inne ukryte zdolności. Pewnego razu na naszych zajęciach zasłabł chłopak. Po prostu osunął się na podłogę w samym środku wykładu o chińskim folklorze. Wykładowczyni zdębiała, ale koreańscy studenci migiem rzucili się na ratunek. Ułożyli delikwenta w pozycji bezpiecznej, ktoś pobiegł wezwać pogotowie. Ich szybka reakcja była wynikiem szkoleń z obrony cywilnej, które w obliczu stałego zagrożenia z Północy traktuje się w Korei Południowej ze śmiertelną powagą. Potem wyszło na jaw, że omdlała osoba była tak naprawdę dziewczyną pragnącą wyglądać jak chłopak.

Koreańscy z komunistycznej Północy również budzili nasze zaciekawienie. Stojąc przed akademikiem, z łatwością można było wskazać ich pokoje – nad łózkami wieszali widoczne z daleka portrety swojego Wielkiego Wodza i jego syna, Ukochanego Przywódcy. Chińska administracja kwaterowała północnokoreańskich studentów parami, aby utrudnić im kontakt z innymi nacjami. Zawsze poruszali się dwójkami lub w większych grupach, aby jeden mógł kontrolować drugiego.

Latem 2002 roku, pod koniec mojego pobytu na studiach w Pekinie, Korea Południowa ponownie stała się mekką światowego sportu. Tym razem wspólnie z Japonią zorganizowała Mistrzostwa Świata w piłce nożnej. Strasznie żałowałem, że nie mam czasu na podróż do Seulu, bo zbliżały się końcowe egzaminy. Mogłem za to oglądać, jak południowokoreańscy studenci cieszą się z sukcesów swej drużyny.

W gorący, pekiński wieczór 4 czerwca 2002 roku polscy piłkarze przegrali w Busanie z reprezentacją Republiki Korei 0:2. Oglądałem ten mecz w barze w kampusie. To był wstyd i szok! Do pokoju wracałem witany entuzjastycznymi okrzykami koreańskich kolegów. *Współczujemy Polsce* – żartowali, ściskając radośnie mą dłoń. W ich zachowaniu nie było nic małodusznego, po prostu cieszyli się z dobrego otwarcia mundialu. Kilka tygodni później koreańska reprezentacja osiągnęła historyczne czwarte miejsce.

Przyjmując tego wieczoru „kondolencje”, pomyślałem, że my, którzy uważamy się za futbolową potęgę i wciąż wspominamy wyczyny drużyn Kazimierza Górskiego czy Antoniego Piechniczka, nic nie wiemy o dalekim azjatyckim kraju, który dał nam łupnia w naszej ukochanej dyscyplinie.

Po powrocie do Polski zacząłem pracować jako dziennikarz i z rosnącym zdziwieniem odkrywałem, że polscy redaktorzy i czytelnicy mają kompletnego fioła na punkcie Korei Północnej, podczas gdy Południowa jawi się u nas jako *terra incognita*. Jest nawet bardziej zagadkowa niż niegościnna Japonia, na brzegach której rozbija się bohater *Shoguna*. Działy zagraniczne tygodników i dzienników nie mogą się obyć bez cyklicznych tekstów o bezceństwach komunistycznego reżimu, podczas gdy trudno znaleźć artykuł, który rzetelnie objaśniałby, jak to się stało, że firma Samsung wyrosła na największego na świecie producenta elektroniki konsumenckiej.

Aby rozwikłać zagadkę tej dysproporcji, obejrzałem po raz kolejny słynną *Defiladę* Andrzeja Fidyka, nadal chętnie powtarzaną w polskiej telewizji i uważaną za perełkę dokumentalistyki. Film powstał wiosną 1988 roku, kiedy w Pjongjangu odbywała się wielka defilada z okazji 40-lecia założenia Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Widowisko pomyślane zostało jako komunistyczna odpowiedź na Igrzyska Olimpijskie na Południu.

Załamałem ręce! Dokument Fidyka nakręcony z ironicznym, pozornym obiektywizmem, tak naprawdę nic głębszego o Korei Północnej nie mówi. Tłumne, wiernopoddańcze rytuały, jakie ukazał Fidyk, kręcąc defiladę w Pjongjangu, były i są w Azji Wschodniej powszechne. Oczywiście, reżim północnokoreański doprowadził je do granic absurdu, jednak mają one historyczne podstawy i wywodzą się choćby z czasów japońskiej okupacji Korei. Wielki pomnik Kim Ir-sena, widoczny u Fidyka – tak chętnie filmowany przez zachodnich dokumentalistów – stoi na miejscu, gdzie wcześniej kazano Koreańczykom oddawać pokłon cesarzowi Hirohito. Koreański autor Li Hoczhol, w powieści *Północ - Południe*, ironizuje, że wyzwolenie Korei

Północnej przez radziecką Armię Czerwoną w 1945 roku w gruncie rzeczy polegało na zamianie figur japońskiego władcy na portrety Józefa Stalina.

Podobnie jak wiele innych zachodnich dzieł ukazujących obce kultury z pozycji laika, Fidykowa *Defilada* najczęściej mówi o autorze i jego widzach, czyli o nas samych. Dokument, który miał swą premierę w maju 1989 roku, stał się dla widzów w Europie maską pogrobową tromtadrackiej obłudy, zdjętą z konającego potwora realnego socjalizmu. Kryła się za tą maską brutalna przemoc i materialna mizéria systemu, któremu demoludy miały za moment powiedzieć sayonara.

Znamienne jest to, że Fidyk w żaden sposób nie wyjaśnia zagadki długowieczności północnokoreańskiego reżimu. Dwadzieścia lat po premierze *Defilady* mało kogo w Polsce to razi¹. Media skupiają się na kontraście pomiędzy dobrostanem komunistycznej elity, a cierpieniem zwykłych ludzi i wrogów reżimu, bo takie ujęcie dobrze się sprzedaje. Poprawia też samopoczucie polskich odbiorców, utwierdzając ich w krzepiącym przekonaniu, że odejście od komunizmu i demokratyzacja to jedyna słuszna droga rozwoju. O tym, że na dzisiejszy stan Korei Północnej – podobnie jak w przypadku Rosji – może rzutować jej historia, nikt nie wspomina. A przecież analogie pomiędzy współczesną Koreą Północną, a Koreą w drugiej połowie rządów dynastii Joseon (1392-1897) są uderzające. Izolacjonizm, zacofanie i zależność od Chin cechujące obecnie Koreańską Republikę Ludowo-Demokratyczną mają więcej wspólnego z okresem monarchicznym niż komunistycznym.

¹ Jednym z wyjątków jest Artur Żmijewski, który skrytykował dokument w esej: *Defilada Andrzeja Fidyka, czyli gdzie jest drugie dno*, w: *Polskie kino dokumentalne 1989-2009. Historia dokumentalna*, red. Agnieszka Wiśniewska, Krytyka Polityczna, Warszawa, 2010.

Ale co z Koreą Południową? Jej historia mało kogo w Polsce interesuje, a przecież kryje się w niej fascynująca opowieść o modernizacji i demokracji. Republika Korei na przykład swemu krewniaczemu państwu-gułagowi wyrosła na jedną z dwudziestu największych potęg gospodarczych świata. Zdumiewające, że po 1989 roku nie pochyłaliśmy się nad jej sukcesem – negatywem północnokoreańskiego zastoju, który nieustannie tak nas frapuje. Poza nielicznymi, niszowymi i fachowymi publikacjami nie pytaliśmy, w jaki sposób kraj doświadczony równie tragicznie jak Polska, zdołał osiągnąć więcej od nas, choć na ścieżkę demokracji wszedł w podobnym czasie, bo w 1987 roku.

Niestety, w polskiej debacie publicznej Azja Wschodnia pozostaje skansenem. Daleki Wschód wciąż stanowi dla nas przede wszystkim repozytorium starych rupieci wyciąganych tylko po to, by na przemian pozachwycać się obcą kulturą, westchnąć bezradnie nad niewyjaśnioną genezą nowoczesności albo postraszyć nieprzeniknioną „egzotyczką”, ostatnio głównie chińską. Choć żyjemy w globalnej wiosce, to Daleki Wschód pozostaje dla nas autentycznie daleki.

Przez 20 lat jedyny model rozwojowy, z jakiego chciała korzystać Polska, odnajdywano w Unii Europejskiej. Szukano go tam niewątpliwie słusznie, ale świat – szczególnie teraz, gdy już na dobre wkroczyliśmy w wiek XXI – nie kończy się na Starym Kontynencie, ani na Nowym Świecie. W chwili, gdy trzęsie się w posadach ład wypracowany po II wojnie światowej i po Jesieni Ludów, a do roli największej gospodarki świata aspirują Chiny, czas najwyższy odłożyć *Defiladę* na półkę i przestać epatować przeszłością. Czas przyjrzeć się uważniej blaskom i cieniom dalekowschodniej modernizacji.

Czas wkroczyć w Koreę Szerokopasmową.

Rozdział I

Wojna i StarCraft

1. Cztery godziny od kraju Orwella

*Człowiek bawi się tylko wtedy, gdy jest człowiekiem
w pełnym znaczeniu tego słowa,
i staje się w pełni człowiekiem, kiedy się bawi.*

Fryderyk Schiller¹

Grubas wspina się na plastikowe krzesło. Jego niezgrabne ruchy śledzi kilka tysięcy głów. Ogrom hali budzi respekt. Można tu rozegrać olimpijski mecz koszykówki albo siatkówki, jednak tym razem parkiet nie jest potrzebny. Rozstawiono na nim rzędy ciemnozielonych krzesełek, na których rozsiedli się widzowie. Podeszwy adidasów skrzypią o polakierowany, drewniany parkiet, a gwar rozmów wznosi się pod wysoki sufit. Błyskają flesze.

Na pogodnym obliczu grubasa nie widać śladu tremy. Skośnooki gniazdowy² uśmiecha się na myśl, że zaraz zacznie się jego panowanie nad niecierpliwym tłumem. Ale rządzić będzie tylko po jednej stronie hali, bo po drugiej stoi takie samo krzesło, a na nim siedzi wróg – identyczny wodzirej. Walka będzie wyrównana: przeciwnicy mają gardła nie do zdarcia i zapas

² Gniazdowy to określenie, które za radą Michała Blicharza podkradłem z futbolu; jest to lider kibiców dyrygujący dopingiem w danej części stadionu.

sloganów wydrukowanych na wielkich planszach. Mają też sekundantów z wielkimi marszowymi bębnami.

– Ostateczna Broń! – krzyczy zniecka grubas.

– Tyran! Tyran! – odparowuje przeciwnik z oddali.

Halę wypełnia nieziemski hałas. Dudnią bębny, gniazdowi drą się wniebogłosey. Publika klaszcze i tupie, skandując hasła w rytm dźwięku tarabanów. Po kilku minutach radosnego zgiełku rozgrzany tłum nie może się już doczekać widowiska. Grubas, zadowolony z dobrze wykonanego zadania, ostrożnie zstępuje z krzesła.

Akcja przenosi się na skąpaną w świetle jupiterów estradę, na którą wbiega pięcioro dziewcząt w biało-różowych kostiumach. Oto jeden z niezliczonych azjatyckich klonów *Spice Girls*. Dziewczyny są zjawiskowo ładne, zgrabne i wygimnastykowane. Dynamicznie tańczą i śpiewają – czysto i bez *playbacku* – kilka cukierkowych piosenek. Na koniec kłaniają się nisko, jak nie kłania się żaden piosenkarz w Europie, a telebim wybucha feerią reklamowych spotów: zupki błyskawiczne, tanie rozmowy i kredyty mieszkaniowe.

Nadchodzi pora suspensu. W hali zapada mrok, z głośników syczy się niepokojący *background*, niczym w teleturnieju *Milionerzy*. Scena pogrąża się w morzu płomieni. Wielki telebim rozsuwa się niczym Sezam z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, odsłaniając reflektor wymierzony prosto w widownię. Mrużąc oczy, dostrzegam ludzkie sylwetki wyłaniające się wprost ze światła jak przybysze z kosmosu w *Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia*. To prezenterzy telewizyjni, którzy faktycznie przypominają trochę Obcych: mają smukłe sylwetki, połyskujące garnitury i ufarbowane włosy.

Za nimi wyłaniają się bohaterowie wieczoru – szczupli i rozczochrani, którzy nie różnią się niczym szczególnym od setek

identycznych chłopaków siedzących na widowni. Ich prawdziwą rolę zdradzają kolorowe kombinezony rodem z wyścigów Formuły 1. Na widok idoli publika krzyczy i klaszcze. Kosmici przystępują do prezentacji.

Ten po lewej – mówią – to Ostateczna Broń.

Ten po prawej to Tyran.

Zamykam oczy i wsłuchuję się w pełen ekscytacji komentarz. Prezenter przeciąga końcówki zdań, wyrzucając z gardła bulgoczące zbitki spółgłosek, tak charakterystyczne dla koreańskiego – języka, który nie przypomina żadnej innej mowy. Wyobrażam sobie, że znalazłem się przypadkiem na stadionowym wiecu w Korei Północnej. Głośniki huczą, wnętrzności wibrują od decybeli. Może to mowa na cześć Ukochanego Przywódcy Kim Dzong-ila? Może to wspomnienie jego ojca, Wielkiego Wodza Kim Ir-sena? A może to sprawozdanie z ostatniej pięciolatki?

Ton komentarza niespodziewanie łagodnieje i wrażenie obcości mija. No tak, jesteśmy przecież w Incheonie, wielkim portowym mieście pod Seulem. Od krainy Orwella, Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, dzieli nas jeszcze cztery godziny marszu. To prawda, że stanowimy anonimowy tłum pośród sportowej scenerii, ale nie przyszliśmy tu dla kultu jednostki, lecz dla rozrywki. Na pustych trybunach ponad nami wiszą wielkie banery z reklamami sieci komórkowych. Z góry patrzą na nas młode, przystojne twarze Ostatecznej Broni i Tyrana, w niczym nie podobne do natchnionych facjat Wielkiego Wodza i Ukochanego Przywódcy z propagandowych wizerunków na Północy.

W pierwszych rzędach, zarezerwowanych dla VIP-ów, nie rozsiedli się członkowie komunistycznej partii, lecz eleganccy panowie w średnim wieku. To menedżerowie wielkich firm, którzy negocjowali otaczające nas reklamy i podpisywali kon-